Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 2. Październ ka 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 40.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZŁOTA NITKA

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Dokończenie).

Zegarze, który tam w zmroku, nieustannie, jednostajnie wydzwaniasz upływające sekundy, metaliczny tentent twój jest jedną z niewidzialnych dróg tych, któremi przylatują tu nam wspomnienia!

Pamiętam, że gdy dnia pewnego przyszłam do Olińskich, Felicja wydała mi się bardzo zmienioną. Po zbladłej twarzy jej przebiegały od chwili do chwili błyski tajemnych wzruszeń, oczy patrzały głębiej jeszcze i świeciły goręcej niż zwykle.

Witając mię pan Józef zawołał:

— A że też to państwo zawsze jednej myśli jesteście z p. Tarnickim, Michalinka chodziła dziś do sklepów po sprawunki i spotkała go w mieście. Mówił, że przyjdzie dziś do nas po obiedzie.

— Pierwszy to raz zapowiedział się nam — zauważyła p. Michalina — przychodzi zawsze niespodzianie.

— Zacny człowiek i rozumny, o, bardzo rozumny! — zawołał p. Józef.

— Majętny i godny obywatel — dodała staruszka.

— Bardzo przystojny — uzupełniła panna Emilja i zaraz, ze spojrzeniem na p. Teofila, który był brunetem - dodała: choć blondyn, a ja w ogóle blondynów nie lubię!

Felicja usiadła przy podłużnym stole z robotą w ręku, ale robota opadła wkrótce na jej kolana.

— Ach! jak mię dziś głowa boli! — szepnęła do p. Emilji tak cicho, jak gdyby wstydziła się swej skargi.

— I mnie zaraz boleć będzie, bo już czuję ściskanie w skroniach — odpowiedziała młoda, rumiana i dzielnie zbudowana panna.

Była to chwila powszechnego picia kawy. Ktoś czegoś do aktu tego zapotrzebował. Felicja niecierpliwym trochę ruchem głowę podniosła i do siostry męża zwróciła się:

— Proszę cię, Michasiu, wyręcz mię dziś...

U boku pretendenta czy tylko wielbiciela swego siedząca panna podniosła się z kanapy, ale tak leniwie i tak niechętnie, że Felicja lekkiem dotknięciem ręki jej i giestem głowy powstrzymawszy ją, sama wybiegła z pokoju.

— Pani Felicja jest doprawdy niezmordowaną — rzekłam do staruszki, przy której usiadłam.

— A niezła kobiecina! bardzo niezła! — odpowiedziała z roztargnieniem sprawionem przez mięszanie kart preferansowych.

Pan Józef żywo zaprzeczył matce.

— Co to, niezła, moja mamo! to anioł nie kobieta! już to doprawdy mego szczęścia trzeba, aby dwa razy tak dobrze trafić. Pierwsza żona moja była także aniołem. Straciłem ją. Dom bez gospodyni, drobne dzieci bez matki... A ot teraz mam sobie znowu kobiecinę poczciwą, dobrą, pracowitą, i — chwała Bogu!

Mimowoli, przypomniałam sobie to, co kiedyś mówiła mi o szczęściu niemowląt, mających przy sobie ramiona jakieś, które je tulą i ogarniają.

Po chwili zapytałam ją na stronie:

— Co ci jest dzisiaj?

— Sama nie wiem — odszepnęła — miewam czasem dni takie, że czuję się zmęczoną jak spłakane dziecko. — I z uśmiechem dodała zaraz: — Ale to przejdzie!

Po raz pierwszy ośmieliłam się dotknąć osobistych spraw jej i uczuć.

— Czy nie czujesz w sobie goryczy... urazy? — z wahaniem zapytałam.

Wpatrzyła się we mnie zdumionem spojrzeniem.

— Urazy? — zapytała — do kogo? Alboż ktokolwiek winien w czem przedemną? Alboż ludzie winni temu, że jestem taką, jaką jestem? Gdyby oni stwarzali mię, ulitowaliby się pewno i nie zaopatrzyliby mię na drogę życia w niepotrzebne dla niej rzeczy. Ale oni mnie nie stwarzali...

W tej chwili zawołano ją do *bałamuta*. Wstała. Zatrzymałam ją i zapytałam:

— Pocóż zadajesz sobie przymus ten nieprodukcyjny?

— Wszystko jedno! — odpowiedziała prędko i z drgnieniem brwi. — Wszystko jedno!...

Zaledwie *bałamut* rozpoczął się, wszedł p. Adam. Zauważyłam, że i on także dnia tego wyglądał nie zupełnie tak jak zawsze. Bywają już dnie takie, w których człowiekowi, niewiadomo dlaczego, wszystko trudniej, boleśniej, burzliwiej niż zwykle.

Powitali się z Felicją z uderzającym chłodem i niezwyczajną ceremonjalnością. Pomyślałam sobie, że gdy płomień rozszerza się i wzdyma, pomiędzy nim a sobą stawimy zasłony. Po kilku jednak minutach rozmowy ze staruszką i p. Józefem, Tarnicki uprosił ich, aby wespół z panią Skwierską kontynuowali preferansa, a sam, zręcznie lawirując pomiędzy ex-profesorem czyhającym nań z wędką polityczną a panną Emilją, usiłującą pochwycić go w sieć spojrzeń swych i żartobliwych zagadnień, stanął za Felicją. Trzymała właśnie w ręku karty w szeroki wachlarz rozwinięte i bardzo starannie pary pomiędzy niemi dobierała.

— Zajmująca gra! — z wielką powagą rzekł Tarnicki.

— Zajmująca gra! — odpowiedziała Felicja z uśmiechem i w oczach jej zakręciły się łzy.

— Prosimy! prosimy pana do *wiatmuta!* — zabrzmiał przy stole chóralny okrzyk.

Skłonił się grzecznie.

— Przepraszam, ale właśnie przyniosłem dziś dla p. Felicji książkę, której sobie życzyła i chciałem zaproponować, abyśmy wspólnie przejrzeli zdobiące ją illustracje. Najczystszy i najwspanialszy Doré.

Spostrzegłam, że zadrżała.

— Natychmiast! — zawołała srebrnym swym głosem—gdybym w tej chwili odeszła, partja byłaby zupełnie zepsutą. Dokończę ją, a potem...

Skrzyżował ramiona u piersi i stojąc wciąż za jej krzesłem, wesoło przepowiadał pannie Emilji, że ona to za chwilę zostanie bałamutką i głowę swą ustroi w kapelusz męzki. Stało się jak mówił. Dokoła stołu powstał gwar i śmiech wielki. Nieparzysta karta została w ręku młodej panny, na głowie jej znalazł się kapelusz p. Teofila, w którym jej było bardzo do twarzy.

Felicja wstała, Tarnicki wziął ze stołu książkę, którą był z sobą przyniósł.

Z miejsca, na którem siedziałam, widzieć mogłam jak w sąsiednim pokoju, noszącym nazwę gabinetu, stanęli u okna i jak Felicja, trzymając dużą i piękną książkę, zwolna przewracała jej karty.

Tym razem rozmawiali z sobą. Dochodziły mię nawet urywki ich rozmów. Mówili o Boskiej komedji, o Dantem, o genjalnym rysowniku, w którego twory, pełne posępnej fantazji, wpatrywali się oboje, ze spuszczonemi ku książce oczami. Chwilami on tłumaczył jej coś czy o czemś opowiadał i nagle milkł; ona zapytywała go, albo odpowiadała, albo czytała głośno strofę poezji i w połowie okresu, w połowie strofy milkła także. Promień zachodzącego słońca spłynął na nią przez okno, tak, że w blasku jego stanęła cała jak w ogniu. On, w cieniu nieco, czoło miał bardzo blade i brwi ściągnięte, nad oczami wpatrzonemi nie w książkę już, ale w płonącą od słońca a jak marmur nieruchomą jej twarz. W tejże chwili podali sobie ręce na pożegnanie. Z uśmiechem zamienili jeszcze z sobą słów kilka; zdaje mi się, że wspominając kogoś wspólnie im znajomego, zaśmieli się. Potem Tarnicki uprzejmie, nawet wesoło pożegnał zebrane w salonie towarzystwo i raz tylko, odedrzwi już, rzucił spojrzenie w głąb gabinetu, w którym przed chwilą rozmawiał z Felicją. Z kapeluszem w ręku stanął jakby jeszcze na coś czekał. Patrzałam na niego uważnie, struna owa, o której wspominał mi kiedyś, śpiewać w nim dnia tego musiała, dziwne jakieś, szalone pieśni. Ale, oprócz niego, nie słyszał ich nikt.

Wpół godziny później, przy preferansowym stole, p. Józef i matka jego drzemali, nawet już spali. Z jego ręki karty wysypały się na podłogę, z jej wypadały jeszcze stopniowo i zwolna. U jednego z okien, p. Skwierski i p. Liniewska, trzymając za wszystkie cztery rogi szeroko rozpostartą siatkową serwetę, półgłosem ale zawzięcie sprzeczali się o barwy i kształty róż czy arabesek. Przy drugiem oknie dwaj gimnaziści, usiłując przez otwarty lufcik wyjrzeć na ulicę, szeptali i chichotali z cicha. Z dwóch stron podłużnego stołu dwie pary, młoda i nie młoda, szeptały także. A na stołach i oknach pełno było szklanek, garnuszków, kieliszków, rozsypanych okruch ciasta i w stosy nagromadzonych łupin od owoców.

Poszłam szukać Felicji.

Siedziała w głębi gabinetu, na kanapce, z twarzą w ogniu i łzach. Pierwszy to i ostatni raz widziałam ją płaczącą. Był to płacz cichy, rzęsisty i głęboki. Chciałam odejść, ale spostrzegła mię i przywołała skinieniem głowy. Ujęła moją rękę, przechyliła się ku memu ramieniu i z gorączką na twarzy i w głosie mówić zaczęła:

— Nie wiem czy to nazwiesz występkiem albo nieszczęściem, ale ja tego wyrzucić z siebie nie mogę... Nie wiem czy ty to nazwiesz mądrością albo szaleństwem, ale pomiędzy nami nie będzie nigdy nic... nic... nic... nawet słowa!...

Obu dłońmi przycisnęła pierś, aby stłumić łkanie i prędkim ruchem otarła z twarzy łzy, które ją znowu oblały. Coraz prędzej i coraz ciszej mówiła:

— Nie mogę, aby słowo jego lub moje przybyło do wspomnień, które czyste... takie czyste, wiecznie jednak jak zaklęte stoją przed oczami! Momenty jak błyskawice... czekam ich, czekam, czekam! Za tydzień, za dwa... pojutrze.. jutro! I przelatują bez głosu, a potem znowu i zawsze... i tak wiecznie będzie!

Obie dłonie przeciągnęła po twarzy. Zapanowała nad sobą i myślała nad czemś chwilę. Potem, biorąc mię znowu za rękę, powoli już i z namysłem mówiła:

— Słuchaj! wszak niewielu jest ludzi na świecie, którzy los swój sami sobie wybrali. Wszystkim nam prawie, coś co nie jest wolą i wyborem naszym, podaje w ręce prząśnicę i wątek, z których snuć mamy długie pasmo życia. Pasma bywają różne. Moje jest szare. Nie ma w niem wcale różowych nitek, tylko wszystkie cienie popielatego koloru...

Drżącemi ustami uśmiechnęła się i zarazem ruchem pełnym energji wyprostowała kibić.

— Nic to! prząść je będę w milczeniu, z sercem i czołem czystem... do końca!...

— A ta złota nitka, o której mówiłaś mi kiedyś?

Mocno, bardzo mocno ścisnęła moją rękę i odpowiedziała:

— Ta złota nitka błysnęła mi nie oczekiwana, niewzywana. Nad szarą przędzą moją błysnęła wysoko i wysoko pozostanie... Świeci mi z góry... jak promień słońca i kiedy jestem bardzo już zmęczona i smutna, podnoszę ku niej oczy, lgnę do niej sercem i biorę od niej znowu trochę sił i spokoju...

Patrzała mówiąc to wysoko i wyciągała w górę splecione ręce. Dwie już tylko ciche łzy płynęły po jej policzkach. Po chwili, kryjąc oczy w dłoniach, z cicha mówiła...

— Bo wiedzieć, że ktoś piękny, dobry, wielki, myśli o nas czasem serdecznie i z tęsknotą — i marzyć czasem o wielkiem a niepodobnem szczęściu... czyż to nie wielka choć smutna radość?

Po chwili dodała: — To moja jedyna radość na ziemi!...

Wyciągnęłam ramiona, aby objąć ją i do siebie przygarnąć, chciałam powiedzieć jej wiele, wiele rzeczy, ale na progu gabinetu ukazał się ex-profesor z gazetą w obu rękach, ożywionym bardzo krokiem zbliżył się i usiadłszy obok nas zaczął:

— Wa... ważna w... w. wiadomość!... Z przebie... biegu e... europpejskich per... per... pertraktacji wwnosić można, że... że... że posło... osło... osłowie w Kon... stan... t.. t... polu oczekują od... do... p. p. Porty us... ustępstwa na... na... na k... korzyść Gre... Grecji...

Wkrótce potem okoliczności różne i odemnie niezależne przeniosły mię w strony dalekie. Olińskich i Tarnickiego najzupełniej straciłam z oczu i długo nie wiedziałam co się z nimi dzieje. W parę lat dopiero po wydaleniu się mem z okolic Ongrodu, otrzymałam od p. Adama list, którym zawiadamiał mię że spełnia nakoniec to, co mu tak żarliwie doradzałam, to jest, żeni się. Żenił się z osobą całkiem mi nieznaną.

Dumałam nad listem tym chwil kilka. Czyliżby on dowodził, że nakoniec p. Adam »spotkał, zobaczył, znalazł?« Wątpię. Nigdy pewnym być nie można, aby fakt jakiś dowodził tego właśnie, czego dowodzić się zdaje. Po prostu, przyszła taka jakaś pora, czy chwila, czy okoliczność... Bardzo zwyczajnie i naturalnie.

I znowu upłynęło sporo czasu — lat może dwa lub trzy — gdy wypadek sprowadził spotkanie moje z Teofilem Siekierskim, codziennym niegdyś gościem Olińskich. Przedewszystkiem i z pośpiechem zapytałam go o p. Felicję, a mimowoli przypomniawszy sobie deklamowany przez p. Teofila wiersz o sercu które pękło, zapytanie moje sformułowałam w dwu wyrazach:

— Czy żyje?

— A jakże, żyje sobie jak dawniej — odpowiedział p. Teofil.

Bardzo naturalnie.

KONIEC.

WSPOMNIENIA I PISMA

Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

(Według tłumaczenia «Wieku»).

Rozwiązanie armji węgierskiej we Włoszech.

(Ciąg dalszy)

Układ zawarty w Villafranca zawierał odnośnie do nas tylko następującą wzmiankę:

„Zupełna amnestja zostaje udzieloną **wszy-**

stkim osobom, skompromitowanym z powodu wypadków na terytorjach obu stron wojujących".

Z uwagi na to, iż Węgrzy chwycili za oręż jedynie w skutek zachęty sprzymierzeńców, nie wypadało nam poprzestać na tej niewyraźnej obietnicy, ale postarać się o stanowcze gwarancje dla tych, którzyby chcieli wrócić do Węgier, oraz o fundusze dla tych, którzyby do kraju nie wrócili.

Poniżej umieszczona pożegnalna proklamacja wskazuje, ileśmy w tej mierze uzyskali.

»Komitet węgierski

do pp. Daniela de Ihasz i Mikołaja Kirs de Nemeskir, pułkowników, dowódzców brygady.

» Turyn 16. lipca 1859.

„Zawiadomiliśmy już panów, iż zgodnie z urzędowem oznajmieniem cesarza Francuzów i rządu piemonckiego, preliminarjami pokojowemi została zapewniona zupełna amnestja tym, którzy pragnęliby wrócić do kraju.

„Pragnąc zabezpieczyć los walecznych współziomków, postaraliśmy się o to, aby traktatem pokojowym zastrzeżone było wyraźnie, iż ci, którzy na zasadzie amnestji zechcą wrócić do kraju, będą zwolnieni od służby wojskowej w wojsku cesarstwa austrjackiego.

„Jestto pewną dla nas pociechą, że możemy pp. pułkownikom oznajmić, że cesarz Francuzów ulegając naszemu żądaniu, przyrzekł zwrócić baczną uwagę na to, iżby warunek ten należycie został uwzględniony przez traktat pokojowy. Mocarstwa sprzymierzone będą też miały staranie o podróży do kraju osób, pragnących z amnestji korzystać. Zanim to nastąpi, brygady pozostaną w teraźniejszym stanie, ulegając zwyczajnym porządkowym przepisom i dyscyplinie i z tem samem uposażeniem.

„O powyższem szeregowcy zawiadomieni będą rozkazem dziennym. Co się zaś tycze pp. oficerów, tych należy uprzedzić, że aż do wyczerpania sumy, będącej w naszem posiadaniu, z decyzji państw sprzymierzonych, możemy im udzielić pewien zasiłek; kasjer komitetu otrzymał w tej mierze odpowiednie instrukcje. Pp. pułkownicy zechcą zawiadomić pp. podoficerów, którzy tutaj przemianowani zostali na oficerów, iż w interesie ich jest, aby na liście, jaka będzie uformowana, nie byli nazywani oficerami, jeżeli chcą wrócić do kraju, to bowiem mogłoby narazić ich na dochodzenie. Wreszcie, tytuł ten wówczas będzie mógł na nowo wartość pozyskać, gdy będziemy w stanie nową o niepodległość walkę rozpocząć. Zapewniamy ich, że kiedykolwiek ten upragniony dzień nastąpi, prawo do rzeczonego tytułu będzie im zachowane.

„Mamy nadzieję wyjednać, iżby podoficerowie i szeregowcy otrzymali na odjezdnem piętnastodniową płacę.

„Generał Klapka zostanie tutaj czas jakiś, w charakterze głównodowodzącego, aby dopełnić tego, co z jego obowiązków wypływa. Co się tyczy komitetu, władza jego w tem wszystkiem co dotyczy wojska węgierskiego, z niniejszą chwilą ustaje.

„Rozwiązujemy Komitet z boleścią, ale nie bez nadziei. Ugięliśmy się, gdy runął gmach naszych marzeń, ale brzemię to nas nie złamało. Wracamy na wygnanie, by dalej cierpieć, gotowi jednak do działania przy najpierwszej zdarzonej sposobności.

„Uczucia obowiązku względem kraju nie nadwyrężą nigdy niepowodzenia i zawody. Owszem obowiązek nasz od tej chwili jest większy, bośmy się utwierdzili w tem przeświadczeniu, że niepodległość Węgier jest niezbędnym czynnikiem porządku w Europie, i że bez niej żadna wielka kwestja europejska, ani włoska, ani wschodnia, ani żadna inna nie mogą być ostatecznie rozwiązane. Artykułem wiary dla nas jest to, że kraj nasz drogi ma przed sobą przyszłość swobodną i niepodległą, byleby tylko naród i współobywatele, indywidualnie i zbiorowo, pozostali wiernymi samym sobie i świętej naszej sprawie.

„Wracamy na wygnanie z tem przeświadczeniem, na faktach opartem, że spełniliśmy obowiązek nasz obywatelski, pospieszywszy na wezwanie uczynione nam w chwili, w której rozpoczynano olbrzymią walkę z ciemiężcą naszym i że chcieliśmy ją dla naszej sprawy wyzyskać.

„Los inaczej zrządził; ale pociesza nas stanowcze przeświadczenie, oparte na niezbitych dowodach, że działaliśmy na takich podstawach i na zasadzie takich gwarancyj, że gdyby wojna nie została tak nagle przerwaną, od woli i męztwa ziomków byłoby zależało wybicie się na wolność naszej ojczyzny — którą i w dzisiejszym stanie rzeczy zdołaliśmy ustrzedz od okrutnych następstw wojny bezowocnej.

„Jestto pociechą dla nas, bo tym sposobem przyszłość kraju nie została narażoną.

„A teraz, żegnamy was, żegnamy z boleścią, towarzysze broni!

„Dziękujemy wam, że połączyliście wasze usiłowania z naszemi.

„Dziękujemy wam, że z takiem zaufaniem spieszyliście do naszych szeregów.

„Zaufanie to i pośpiech świadczą dowodnie, że naród chciwie chwyta sposobność do strzaskania jarzma na nim ciążącego

„Sposobność taka jeszcze się nastręczy, chociaż przyjdzie na nią czekać może — a wówczas będziemy mieli dzień wesela, dzień wyzwolenia!

„Dziękujemy wam wreszcie za męzką prawdziwie godność i prawość, dzięki którym imię Węgra pozostało nieskalanem i na obcej ziemi, i wzbudziło dla siebie ogólny szacunek i poważanie.

„Niechaj ci, którzy wrócą do kraju, strzegą wiernie i bez przerwy świętego ognia miłości rodzinnej; nasz szacunek i miłość bratnia niechaj będą z nimi. Żegnamy ich silni tą wiarą, że jeżeli kiedyś Opatrzność zawyrokuje, że naród nasz dość przecierpiał, a na widnokręgu zabłyśnie dla ojczyzny naszej jutrzenka swobody, że wówczas gdziekolwiek będą, staną na wezwanie i zawiązki armii madiarskiej, utworzonej na ziemi włoskiej, staną się zawiązkiem wojsk, mających bić się pomyślnie za wolność.

„Pozdrowienie im na drogę do ojczyzny! Niechaj Bóg ich prowadzi!

»Komitet węgierski

»Kossuth, prezes. — *Władysław Teleki.* — *Klapka.«*

* * *

Pomimo to wszystko, los współziomków pragnących korzystać z amnestji zależał od ostatecznych układów, jakie zawrą mocarstwa mające radzić nad pokojem. Ale i te pierwsze układy nie obyły się bez pewnych trudności.

Francja i Austrja postanowiły wysłać niezwłocznie pełnomocników do Zurich, aby ci preliminarja pokojowe przeobrazili na traktat pokoju. W tej nadziei, że rzeczy pójdą tym torem, zawieszenie broni zostało tylko zawarte na krótki termin do 16go sierpnia.

Rząd francuski jeszcze pod dniem 19. lipca prosił rząd sardyński za pośrednictwem posła swego w Turynie, księcia de la Tour d'Auvergne, aby Sardynia także wysłała pełnomocnika do Zurich. Rząd sardyński zapragnął przedtem wszelako dowiedzieć się, na jakich podstawach toczyć się będą układy. Wiktor Emanuel bowiem podpisując preliminarja, zastrzegł, że obowiązuje się tylko za siebie samego. Uczynił zaś to dla tego, iż na mocy układu w Villafranca, wielki książę Toskański i książę Modeny mieli powrócić do swych państw, oraz że obadwaj cesarze sprzyjali myśli utworzenia konfederacji włoskiej, do której miała należeć i Austrja, z tytułu posiadania Wenecji. Otóż rząd turyński nie czuł się władnym przystawać na tę kombinację, nadwerężającą wolność ludów środkowych Włoch. Co się zaś tyczy konfederacji, był jej stanowczym przeciwnikiem, gdyby bowiem doszła ona do skutku, dom sabaudzki i Piemont wyzute by zostały z wszelkiego wpływu na sprawy włoskie, i zostałyby wasalem domu austrjackiego.

W skutek tego konferencje uległy opóźnieniu zaraz na wstępie. Przedstawiciel Sardynii, p. Ludwik Desambrois, zaczął od tego, że zamiast jechać wprost do Zurichu, udał się najpierw do Paryża, aby dowiedzieć się, jakie są zamiary cesarza. Siedział tam napróżno do 3. sierpnia, a gdy nareszcie konferencja zebrała się w Zurichu, powstało tyle na raz trudności, że termin zawieszenia broni upłynął i jeszcze nic nie uradzono. Konferencje skończyły się dopiero 10. listopada.

Niepewność jest matką niecierpliwości i niepokoju. Nasze biedne wojsko ciągle jeszcze oczekiwało, aż wreszcie zniecierpliwione zaczęło ujawniać swe niezadowolenie. Niebawem rozdrażnienie doszło do tego stopnia, że w pierwszych dniach sierpnia wielu żołnierzy chciało wprost puszczać się w drogę do Węgier bez żadnej pomocy i gwarancji. Położenie generała Klapki, który pozostał na stanowisku, z każdą chwilą stawało się trudniejsze. Wreszcie postanowił uciec się do mego pośrednictwa, aby rzecz raz została zdecydowana.

Wtedy to napisałem następujący memorjał, przeznaczony dla cesarza:

Memorjał.

„W kilka dni zaledwie po ostatniej mej rozmowie z cesarzem, w ciągu której to rozmowy ułożone zostały podstawy organizacji wojska węgierskiego, zawarte zostało najniespodziewaniej zawieszenie broni w Villafranca, które przerwało nagle gorliwie rozpoczętą pracę.

„Wskutek tego, wojsko węgierskie, mając być rozpuszczone, pozostało w nieczynności i bezbronne, a okoliczność ta nie mogła na nie korzystnie oddziałać.

„Wpływ nasz moralny był jedynym czynnikiem, jakim mogliśmy w tem położeniu rozporządzać.

„Legioniści nasi, pomimo rozwianych nadziei, pomimo boleści, jaką ich zawieszenie broni przejęło, ze spokojem oczekiwali chwili, w której będą mogli wrócić do ojczyzny, a termin tego powrotu obliczali co najwyżej do 16. sierpnia, jako do dnia, z którym zawieszenie broni upływało. Chwili tej oczekiwali z upragnieniem,

ufni w opiekę i gwarancje, jakie z upoważnienia J. C. Mości odnośnie do powrotu im przyrzekliśmy.

„Gdy jednak zawieszenie broni zostało przedłużone na dwa miesiące, a konferencje w Zurichu się przeciągają, zaraz pojawiła się i niecierpliwość oraz niepokój w naszych szeregach, a przybrały one rozmiary, mogące i nas samych, słuszną ze względu na przyszłość, przejąć obawą, tem więcej, że nie widzimy końca tej niepewnej sytuacji.

„W tym stanie rzeczy my, członkowie Komitetu węgierskiego, utworzonego z woli cesarza, nie czujemy się na siłach dochować odpowiedzialności za utrzymanie porządku — tembardziej, że jeńcy austrjaccy już zostali wymienieni, my zaś nie jesteśmy w możności nic powiedzieć tym, których potężne słowo cesarza Francuzów powołało pod sztandar niepodległości narodowej, i którzy tak chętnie spieszyli na wezwanie, by przelać krew swoją w obronie świętej sprawy.

„Jeszcze jeden wzgląd, nader ważny, może ważniejszy.

„Pomimo smutnego zrządzenia losu, i boleści, jaką rozczarowanie w sercach naszych obudzić musiało, nie chcemy i nie możemy wyzuć się z tej myśli pocieszającej nas w niedoli, że uczucia cesarza dla naszej ojczyzny się nie zmieniły.

„Silni tem przekonaniem, pragniemy gorąco, aby naród nasz odwzajemniając się za te przyjazne uczucia, przeniknięty był uczuciem wdzięcznej względem cesarza ufności, którą miał i ma dla niego od chwili, w której zawiązały się na początku kampanji żywe między cesarzem a narodem naszym stosunki, mające charakter nie osobisty raczej, ale międzynarodowy. Uczucie to nie może być bez znaczenia w przyszłości niepozbawionej przeszkód i szkopułów.

„Pragnienie to nasze atoli nie mogłoby stać się faktem spełnionym, gdyby gwarancje, udzielone naszym żołnierzom i słowem cesarskiem poręczone, miały dalszej a nieograniczonej jak dotąd uledz zwłoce, i gdyby żołnierze nasi zniewoleni zostali do opuszczenia szeregów i powrotu do ojczyzny bez żadnych gwarancyj, narażając się na prześladowanie, które mogłoby ich skłonić do złorzeczenia chwili, w której wstąpili do legionu, zamiast pozostać w niewoli.

„Z uczuciem niekłamanej wdzięczności, dowiedzieliśmy się też, że Naj. Pan raczył wydać instrukcje nietylko w przedmiocie amnestji, ale i co do tego, aby żołnierze nasi byli uwolnieni od służby wojskowej w Austrji, oraz aby odbyli podróż do domu kosztem funduszów rządowych.

„Ale z uwagi na nieobliczone klęski, grożące nam w razie dalszej zwłoki w tej sprawie, która winna była być rozstrzygniętą przed ostatecznem rozwiązaniem armji węgierskiej, czujemy się zniewoleni prosić J. C. Mość, aby zalecił pełnomocnikom w Zurichu, sprawę legionu — nieznaczną na pozór, dla nas jednak nader doniosłą, tak, iżby została ona jak najrychlej rozstrzygniętą, w sposób i w duchu pism cesarza wskazanym, to jest, aby niezależnie od amnestji przyrzeczonej konwencją w Villafranca, zapewnione zostało żołnierzom naszym stanowcze i ostateczne uwolnienie ich od służby wojskowej, oraz bezpłatny powrót do domu.

„Bóg niechaj z rządzi, aby zapewnienia te nie zostały udzielone zapóźno.

„Vevay, 20. sierpnia 1859.

Kossuth.

Prezes Komitetu Węgierskiego.»

Chciałem, aby memorjał ten wręczył cesarzowi Pietri, jako pośrednik przez cesarza wyznaczony — chodziło jednak o to, aby memorjał rzeczony doszedł do rąk cesarza natychmiast, a Pietri mógł być nieobecny. Dla tego posłałem do Paryża pułkownika Emeryka Szabo, sekretarza wojskowego Komitetu, i poleciłem mu, aby, w razie nieobecności Pietrego, udał się do księcia Napoleona, który, wskutek instancji generała Klapki, już kilkakrotnie był pośrednikiem między naszymi agentami a cesarzem.

P. Emeryk Szabo miał też list odemnie do Pietrego. W liście tym, trzecim już z kolei, który do Pietrego w tej sprawie pisałem (na dwa poprzednie nie dostałem odpowiedzi, zapewne z powodu nieobecności Pietrego), prosiłem senatora, aby memorjał przedstawił cesarzowi i nalegałem na konieczność szybkiego załatwienia tej sprawy i na wzburzenie umysłów w naszych szeregach.

„... Dość już, panie senatorze, że z takiem rozczarowaniem przychodzi nam opuszczać włoską ziemię. Niechajże odbędzie się to przynajmniej bez skandalu, i niechaj nasi żołnierze nie popełnią nic takiego, coby nie licowało z uczuciem uszanowania, jakie winniśmy cesarzowi i jakiego pragnęlibyśmy teraz nawet dać mu dowody.

„... Pan Szabo ma sobie polecone złożyć też Waszej Ekscellencji raport (jeśli potrzeba, może go złożyć i samemu cesarzowi), o szczegółach dotyczących obecnego położenia armji węgierskiej.

„Polecam gorąco tę sprawę twej opiece, panie senatorze. Opuszczam niebawem kontynent z sercem rozdartem. Około 2. września będę przejeżdżał przez Paryż. Żywo pragnę uścisnąć dłoń pańską, pożegnać pana i podziękować mu za prawdziwie przyjazne i serdeczne uczucia dla mej ojczyzny.

„Przyjmij pan i t. d.

»Kossuth.«

Pan Pietri nie był w Paryżu, pułkownik Szabo, zgodnie z instrukcją, udał się do księcia Napoleona, który przyjął memorjał i wysłał go natychmiast specjalnym posłańcem do Biarritz, gdzie znajdował się cesarz, oraz dołączył list od siebie.

P. Szabo, w liście pisanym z Paryża w d. 23. sierpnia doniósł mi, co mu powiedział książe Napoleon przy tej sposobności. Podaję tu krótki z tego listu ustęp:

„Książe bardzo żałuje, że pan pragnie wrócić do Anglji i radby go odwieść od tego zamiaru. Anglicy, powiadał książę, to samoluby. Od niepamiętnych czasów gardłowali za niepodległością włoską, a jak przyszło co do czego, stali się najzaciętszymi przeciwnikami cesarza. Książę jest zdania, aby pan pozostał we Francji i utrzymywał dalej stosunki z Najjaśniejszym Panem, który bardzo korzystne odniósł z dotychczasowych z nim stosunków wrażenie. Położenie obecne, jak zapewnia książę, nie jest trwałe, bo żadna sprawa nie została rozstrzygnięta."

Pułkownik Szabo otrzymał niebawem następującą odpowiedź cesarza na mój memorjał:

„J. C. W. książę Napoleon otrzymał od Najj. Pana zapewnienie, że p. Bourqueney ma piśmienne przyrzeczenie hr. Rechberga, posła austrjackiego, że żołnierze legionu węgierskiego, utworzonego we Włoszech, będą rozesłani do swoich domów (dans leurs foyers). Książę polecił mi prosić pana, abyś zawiadomił p. Kossutha o powyższej na jego notę odpowiedzi.

„Przyjmij pan i t. d.

„Sekretarz przyboczny księcia

»Em. Hubaine«.

Niepodobna mi było poprzestać na tem niejasnem określeniu. Przy dobrej woli można to było uważać za zupełne uwolnienie od służby. Ale można też było rozumieć pod tem wyrażeniem i urlop, czasowy tylko. A nie sposób znowuż było łudzić się, iżby rząd austrjacki wytłómaczył go w sposób dla nas przychylny.

Takież wrażenie sprawił powyższy ustęp i na generale Klapce. Jakoż generał napisał do mnie niezwłocznie, prosząc, abym się odniósł z prośbą o wyjaśnienie tego ustępu do księcia Napoleona.

„Niespokojność w naszych szeregach, dodaje generał, dosięgła tych granic, że niepodobna dalej zwlekać bez obawy skandalicznych następstw."

List ten zastał mię już w Paryżu. Udałem się natychmiast do księcia Napoleona, który uznał słuszność naszych uwag i obiecał swe pośrednictwo; cesarz był ciągle w Biarritz, musiałem zredagować nową notę, w której starałem się zwrócić uwagę cesarza na niejasność wyrażenia „będą rozesłani do swoich domów", i że w razie nieprzychylnej tego wyrażenia interpretacji (a takiej możemy się po Austrji spodziewać), sama amnestja nawet może ucierpieć. Prosiłem więc cesarza, aby zlecił panu Bourqueney, swemu pełnomocnikowi w Zurich, telegraficzną drogą, iżby ten wyjednał żądaną przezemnie interpretację tego wyrażenia. Zwróciłem też uwagę cesarza, że ze względów praktycznych należałoby żądać zamianowania i wysłania przez Austrję do Aleksandrji komisarza ad hoc, którby tę sprawę zgodnie z instrukcjami załatwił. Tak było w Komornie w roku 1840.

Książę wysłał tegoż dnia jeszcze (8 września) moją notę wraz z nowym od siebie listem do Biarritz.

Ale podróż kurjera do Biarritz i rozprawy telegraficzne z Zurichem wymagały najmniej tydzień czasu. Tymczasem w Aleksandrji niepokoje zaczęły przybierać tak zatrważające rozmiary, że Klapka, lękając się następstw, zniewolony był ułożyć się z generałem Lamarmora, ministrem wojny piemonckim, i rozpocząć powoli rozwiązanie legionu i ekspedycję żołnierzy do Węgier, nie czekając już dalej gwarancyj, a raczej licząc na to, że prędzej później one nadejdą.

Szczęście, że się tak stało. Zanim transport wojska został ukończony, w dniu 16. września nadeszła do Turynu depesza Napoleona tej treści:

„Hr. Rechberg przyrzekł na piśmie, że żołnierze legionu węgierskiego otrzymują amnestję i uwolnieni są od służby wojskowej."

. . . .

. . . .

* * *

Wojsko nasze, ten zadatek przyszłej wolności zostało rozwiązane.

Z wojska tego, liczącego z górą 4,000 żoł-

nierzy, tylko 95 przełożyło wygnanie. Innych tęsknota zaprowadziła do ojczyzny, do której przybyli na dalsze cierpienia, gdy jej wolności dać nie mogli. Ekspedjowano ich w oddziałach po kilkuset, pod dowództwem kapitana węgierskiego i oficera piemonckiego do Descuzane, t. j. do granicy austrjackiej, ztąd zaś rozsyłano ich „do ich domów.“ Tylko niektórzy nigdy swych domów nie ujrzeli.

Rząd sardyński czynił co mógł, aby żołnierze nasi przyjazne z Włoch wspomnienie unieśli. Ofiarowano im bezpłatny przejazd do granicy koleją. Każdy żołnierz otrzymał płaszcz, bieliznę, żołd piętnastodniowy i zapas żywności. Każdy miał przy sobie list bezpieczeństwa, opatrzony podpisem władzy sardyńskiej i opiewający, że posiadacz listu jest żołnierzem węgierskim, któremu konwencja w Villafranca zapewniła amnestję, a konferencja w Zurich powrót do rodzinnego ogniska.

Dano także bezpłatny przejazd tym, co chcieli jechać do Ameryki lub księztw naddunajskich. Pierwszych było 24 ch, drugich 27-u.

Wszyscy oficerowie bez wyjątku otrzymali trzymiesięczną pensję. P. Pietri dał nam od cesarza 100,000 franków. Rozdano je oficerom według stopnia. Remanent kasowy został w ten sposób użyty: każdy żołnierz dostał 100 fr., każdy podoficer 120 fr., sierżanci 150 fr.

Z 33 oficerów legionu, 12 wróciło do domu, 11 pozostało na wygnaniu, 4-ch (w tej liczbie pułkownik Ihasz, mój wierny druh i towarzysz wygnania dotychczasowy) przyjęto do wojska piemonckiego na pół pensji (in aspettativa); 16 oficerów, 32 podoficerów i żołnierzy wstąpiło do służby w Modenie.

Ostatni transport ku granicy austrjackiej opuścił Alessandrję 18. września.

Po armji węgierskiej we Włoszech zostało tylko wspomnienie.

Consumatum erat!

(Dokończenie nastąpi.)

KASKADA.

Czy widzisz jak śnieżnym promykiem
Ze szczytu skał twardych upada
Po ławach granitów, drzew zrębach,
Wspieniona kaskada?

Skarlałe jałowce u góry,
A sosny olbrzymie u dołu,
Nad wiotką córuchną granitów
Straż dzierżą pospołu.

O! dobra bo córuś — o! dobra! —
Więdnące kwiatuszki w dolinie
Swą ona wilgocią pokrzepia,
Gdy który z nich ginie.

Ocuca i szepce po cichu:
— «Nie bójcie się, kwiatki kochane,
Nie bójcie się skwaru, posuchy,
Ja przy was zostanę».

A nie wie nikt o tem, gdy z góry
Rozprysłszy w kropelek tysiące,
Jak anioł pociechy się zjawia
Tam — przy nich — na łące.

A nie wie nikt o tem... ach! tylko
To słońce, co płonąc na niebie
Kropelki jej w obłok przemienia
I tuli do siebie.

St. Rossowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Odpływ szlachty, która się zjechała na targ międzynarodowy, na wystawę i posiedzenia Towarzystwa Rolniczego, już jest widocznym na ulicach naszego miasta. Nie tyle może spustoszenia kieszeni, ile śnieg i mróz jaki zawitał do nas w ubiegłym tygodniu, wypłoszyły poczciwych gospodarzy do domu, gdzie jeszcze siewy nieukończone oczekują pańskiego oka. Zostali tylko sejmowi, zajęci wybieraniem różnych komisyj po dwie, trzy, na każdem posiedzeniu, jak się zdaje aż do skutku, to jest do wigilii zamknięcia posiedzeń. Słusznie powiedział marszałek krajowy na ostatnim bankiecie, wyprawionym na jego cześć przez posłów sejmowych, że w kraju naszym już indywidualne pretensje znikły, a osobisty antagonizm został pogrzebany, bo zamiast tego wytworzyły się w sejmie kluby, klubiki i partyjki w towarzystwie nie pół, ale całkowicie dzikich posłów. Tylko znowu niech łaskawe czytelniczki nie biorą tego wyrażenia w znaczeniu czegoś podobnego do czerwonoskorych Mohikanów, lub amatorów na ludzkie mięso z wysp Oceanii. Nasi dzicy ubierają się bardzo przyzwoicie i to nie w cudze pióra, a jeżeli już porwie ich apetyt na ludzkie mięso, to nie zadawalniają się pierwszym lepszym tłuściochem, ale dobierają sobie na stół co najmniej jakiego burmistrza, lub dyrekcję banku zajmującego się także skalpelizacją. Otóż podobno tych klubów i klubików jest w naszym sejmie sześć czy siedm, co już, jak na nasze stosunki i liczbę posłów obecnych w liczbie mniej więcej stu, jest znakomitym postępem ku rezygnacji z osobistych przekonań na rzecz grup i odcieni. Okoliczność ta daje nadzieję, że za jakie lat pięćdziesiąt postępując tą drogą, doczekamy się swoich własnych wigów i torysów. Tymczasem komisje sejmowe konsystują się i radzą, a cała uwaga skupia się na dwa główne punkta tegorocznych przedłożeń, jednego z inicjatywy Rządu, o przyszłej reformie administracyjnej, drugiego z Wydziału krajowego o założeniu Banku krajowego. Los pierwszego, na dnie którego, pod niewinną osłoną wzmocnienia działalności władz autonomicznych, spoczywają przeciwne dążenia, (przynajmniej takiemi się wielu wydają,) jest bardzo wątpliwy. Ważą się różne opinje poobwijane w bardzo delikatne i miękie frazesy, a nikt nie ma odwagi powiedzieć otwarcie, o co nam idzie. I owszem, cały kraj z największą radością przyklaśnie małżeństwu c. k. władz z autonomicznemi, niech tylko naczelnicy tych władz będą odpowiedzialnymi przed krajem. Nawet gdyby wysoki Rząd chciał nam jeszcze narzucić nasze krajowe wojsko w Galicji, to jakkolwiek bieda wielka, jednak moglibyśmy się zdobyli na jego utrzymanie bez pomocy funduszów państwowych.

Co do wielkiego Banku krajowego, ten podobno ma szanse urzeczywistnienia, jeżeli nie spotka go ten sam los, co spotkał stutysięczną armię na sejmie czteroletnim, to jest że uchwalimy Bank, ale nie uchwalimy pieniędzy dla niego, bo przecie te 50000 fl. wstawiane do preliminarza budżetu krajowego na r. 1882 jako kapitał zakładowy projektowanego Banku z tylu rozległemi atrybucjami, na serjo nie mogą być uważane jako kapitał zakładowy. Nie byliśmy nigdy zwolennikami tych przekonań, żeby na tyle dolegliwości naszego życia ekonomicznego, tylko bank miał stanowić jedyne lekarstwo. W Rosji wprawdzie jest przysłowie, że na każdą chorobę najlepszym medykamentem jest wódka, ale u nas niepodobna znowu na wszelką biedę tej wódki na bank zamieniać. Prócz braku taniego kapitału, mnóstwo jeszcze istnieje przyczyn tamujących rozwój przemysłu fabrycznego i rękodzielniczego u nas. Dość wspomnieć o przestarzałej, prze-rozwlekłej procedurze cywilnej, uniemożliwiającej wszelkie dochodzenie praw i krzywd swoich w obec rozwoju dzisiejszego interesu między ludźmi. — Kto ma odwagę wchodzić w jakieś sprawy i interesa, jeżeli z góry wie, iż na wypadek sporu dziesięć lat i dłużej oczekiwać może wymiaru sprawiedliwości? Dalej praktykowany u nas fiskalizm władz skarbowych, śledzący krok w krok z całym aparatem formalności każden obrót guldena w rękach przemysłowca — nie może zachęcać do konkurencji z innemi krajami, gdzie rządy ułatwiają wszelkimi środkami, wszelkie przedsięwzięcia i operacje, gdzie organizują kredyt osobisty kilka razy większy od posiadanego przez handlującego kapitału. Wreszcie jeżeli do konkurencji z nami stanie uorganizowana, w środkach nie przebierająca, zawzięta i kastowa klika żydowska, tyle zazdrosna o wszelki ruch wydobywający się po za ich sferą, to trudno wymagać, aby ludzie uczciwi, dla których sumienia wstrętną jest każda krzywa droga, mogli puszczać się z żydowstwem w zawody, w których nie tylko pracę swoją, ale i uczciwe imię zaprzepaścić mogą. Nie dość zatem u nas mieć bank i tańszy niż dotąd kredyt, lecz potrzeba jednocześnie pousuwać inne zakorzenione przeszkody, tamujące rozwój życia ekonomicznego a wtedy pokaże się, że i kapitałów i zdolności u nas nie brak.

Na posiedzeniu sejmu we środę, znany statysta nasz i znakomity mówca, p. Otto Hausner, złożył swój mandat jako poseł z Izby handlowej Brodzkiej. Jakiekolwiek były przyczyny zniewalające p. Hausnera do tego kroku, my jednak zanotować musimy tutaj głos opinji publicznej niepochwalający takiego postąpienia szanownego posła. Pan Hausner jest zanadto wybitną osobistością w społeczeństwie naszem, aby nieobecność jego w sejmie nie mogła być dostrzeżoną. Sprawa publiczna jest obowiązkiem obywatelskim wobec kraju, i nie wolno jest w tak porywczy sposób opuszczać zajętej pozycji takiemu pracownikowi, jakim jest p. Hausner, choćby ta nieobecność jego w sejmie, dla wielu mogła być przyjemną...

* *
*

W zeszłym tygodniu odbył się w mieście naszem smutny obrzęd pogrzebu ś. p. Julji z Lewickich Łozińskiej, sędziwej matki tak zaszczytnie znanych w literaturze naszej ś. p. Walerego Łozińskiego i żyjących pp. Władysława, redaktora „Gazety Lwowskiej“ i Bronisława, urzędnika Wydziału krajowego, a zarazem korespondenta wielu pism krajowych i zagranicznych.

Mało kto u nas miał tę sposobność znać bliżej tę skromną, cichą, i pełną cnót chrześcijańskich matronę, a jednak pogrzeb jej zgromadził cały zastęp inteligencji i wysokich dygnitarzy tutejszych, dla oddania należnego hołdu matce, która pomimo licznych przeszkód, z jakiemi długie lata walczyć musiała, wychowała i oddała na zaszczyt i pożytek kraju trzech tak uzdolnionych pracowników. Po owocach poznano ś. p. Julję Łozińską, a ta gotowość oddania jej ostatniej usługi, była tylko wyrazem należnej czci zacnej żonie, matce i obywatelce, która nie siląc się na odgrywanie głośniejszej roli na świecie, potrafiła tak sumiennie i uczciwie wypełnić swój obowiązek. — Cześć zatem jej pamięci!

Turysta - pedagog

wspomnienie trzech wycieczek w kołomyjskie góry

podał

Marceli Turkawski.

(Ciąg dalszy.)

Następnie pełnym kłusem spuszczamy się z góry do wnętrza miasta, zmierzając do zakładu solnego, gdzie na wstępie wita przybyłych po staropolsku życzliwy nam starszy zarządca salinarny p. Pechnik i prowadzi przy dźwiękach wybornej kapeli żupnej na obszerną, dachem pokrytą werandę na pierwszem piątrze. Całość gmachu żupnego składna aż do drobnostek, filary i słupy galerji gustowne, perspektywa ściśnięta na klomby i chodniku parku... a co najważniejsza dla gastronomów... zastajemy olbrzymiej długości stół czysto i bogato nakryty, zapraszający do wspólnego obiadu. Turyści, jakby na dowód, że nietylko żyją chlebem, ale i słowem muz, urządzają parami na werandzie faktyczny *promenade-concert.* Dzielna muzyka przygrywa coraz to nowsze utwory najlepszych mistrzów. Siadamy potem wraz z obywatelstwem gościnnego Kosowa do biesady, prawdziwie sutej. Humor i wesołość wywołuje długi szereg improwizowanych toastów, przy czem niezmordowana kapela bije „tusze“ i wtoruje hucznym okrzykom biesiadników ponownem odegraniem doborowych ustępów... Pożegnawszy się po obiedzie uprzejmie, siadamy znowu, ale już razem do powozów, a mając na przodzie tę samą muzykę, zwracamy się ku Kutom w południowo-wschodnim kierunku. Wsi Smolne i Czerniówka, sprawiają widocznem ubóstwem ludu bardzo przykre na nas wrażenie. Tuż za tą drugą wsią zebrała się w chłodnym lasku publiczność kucka i oczekiwała nas obok potężnej bramy drewnianej, nad którą czytaliśmy słowa: „Witajcie“. Imieniem reprezentacji miasta i podkomitetu zarazem przemawia do turystów rzewnie, z serca płynącemi wyrazami, burmistrz, p. Soroczyński, za co również szczerze dziękuje Kucianom przewodniczący oddz. czarnoh. p. Siwicki, poczem po bratersku mieszają się w gaju przybyli z tubylcami, przysłuchują naprzemian grającym dwom muzykom i zaznajamiają z gospodarstwem, u których przybyli goście mieli być rozlokowanymi. Sekretarz po wielu kłopotach zdołał dostać kartę wspólnej kwatery z swemi paniami... ku obopólnej radości. Po ostatecznem rozdaniu kartek i przydzieleniu mieszkań, do czego nie mało potrzeba było czasu, przesiadamy się z przewódcami i gospodarzami do bryczek, aby społem z nimi udać się do miasta Kut, przed któremi ustawiono drugą pyszną bramę z naszem godłem „capem“ i narodowemi chorągiewkami u szczytu. Ledwieśmy w wygodnych pomieścili się gościnach, zapadł na dobre wieczór, a z nim zapowiedź tańcującej zabawy w kasynie. Trzeba więc było prędko otrzepać pył z podróżnej odzieży, uregulować zburzoną fryzurę i pospieszyć do obszernej i balowo przystrojonej sali. Gdy się już wreszcie (a szło to powoli) wszyscy, swoi i obcy, zgromadzili, rozpoczęła się świetna zabawa z tańcami, która w rzeczywistości przeciągnęła się długo po północy. Tak wesoło zakończył się w Kutach pierwszy dzień wycieczki.

Zdziwi zapewne niejednego, dlaczego wbrew przyjętej na początku naszego opowiadania zasadzie... tak mało mówimy o głównych bohaterach niniejszego szkicu, szczególnie o naszym turyście - pedagogu? Czy miałby zapał dawny ustąpić obojętności? — Niby tak, niby nie! „Po seredyni,“ jak to mówią Rusini. Siedział on machinalnie, okuty więzami sercowemi, naprzeciw i obok „Psyche;“ rzadko zaglądnął Amorek w jej oczęta, uśmiechnął się nawet... boleśnie, bo gorzkie przeczucie niepowodzeń i wiara w zawiedzione nadzieje zasępiało niestety czoło i zaprzątało jego myśl. Wszystko się zmienia na tym bożym świecie, czyli dziwnie się plecie.. chciałem powiedzieć. Na biednej zresztą głowie sekretarza spoczywało prócz tego mnóstwo ważnych i ubocznych interesów, zajmywanie się wszystkiem i... niczem, pilnowanie punktualności programu, kasowości i tp., zbieranie materjału do sprawozdania, czynienia psychologicznych spostrzeżeń i t. d. i t. d. W obec tego nawału zajęć niepodobna było poświęcić przeważne usługi jednej osobie, choćby ona była najdroższą. Zresztą nie był on dla niej skrytym i nieczułym niewdzięcznikiem, zwodzicielem, tyranem...; przeciwnie, strzegł jej, jak źdźbła w oku, towarzyszył na każdym kroku, jak satellita, bawił i tańczył, jak umiał i mógł. Reszta niestety nie zależała.. od niego!

Skoro świt przebudziła nas trąba czyli róg pastucha, który odwiecznym w Kutach sposobem wzywał trzodę na pastwisko. Zerwaliśmy się na równe nogi w obawie, że to alarm pożaru lub może znak podkomitetu, dany turystom, aby zbierali się na rynku. A mieliśmy w tym dniu: wiele widzieć, dużo robić, a w dodatku do zagród domowych powrócić! Po śniadaniu na poczcie, gdzieśmy kwaterowali, wychodzimy na dość zaniedbany rynek kucki, pierwsi na posterunku w tym celu, aby powoli zbierać turystów i poruszyć zaspane szwaby do zaprzęgania koni. Świeżym porankiem (w nocy pokropił trochę deszcz) poniedziałkowym Zielonych świąt rozpoczął się podjazd pod górę Owidyusza, położoną w poblisku Starych Kut, a ćwierć mili od rynku.

Z drogi wiodącej nad Czeremoszem nie przedstawia się tej góry postać imponująco, nosi raczej charakter zwyczajnego wzgórza, na którymby miał stać średniowieczny zamek, coś na kształt góry Odrzykonia lub Dobromila. Dlatego wielu wolało iść do góry piechotą, inni korzystając z ujprzemości Magistratu kuckiego, wzięli do pomocy wprawne i chyże koniki huculskie, osiodłane ormiańskiemi terlicami. Ponieważ panie X. X. ani rusz namówić się nie dały do towarzystwa (byłto jeden z dotrzymanych warunków p. X.), składając rzekomą winę na piersi, płuca, gardło i tp. ujemne składniki ciała niewieściego, — musiał sekretarz jako czuły opiekun... opuścić połowicę i dosiąść sprytnego huculka, aby oglądnąwszy szczyt Owidyusza i krajobraz z tamtąd widziany, zdać następnie ścisłe sprawozdanie paniom i z wrażeń tam odniesionych i ze swego postępowania. Takie to obowiązki i tak potężna kontrola ciężą na barkach obdarzonego chwilą wolności narzeczonego!...

Nasamprzód zastanówmy się nad samą nazwą tej góry, która z polska brzmi Owidyusz, w narzeczu zaś huculskiem i miejscowem Owydowa hora. Niektórzy ułudzeni podobieństwem fonetycznem nazwy tej góry i niedalekiego ztąd jeziora Owydowe ozero, i zarazem tym pewnikiem, że Dacja - Panonia była niegdyś u dawnych Rzymian miejscem wygnania, — wyprowadzają wniosek, że to nazwanie otrzymały one od łacińskiego poety Owidego czyli Owidyusza, który (według tych wątpliwych świadectw w tym wypadku) miał na tym szczycie i nad tem jeziorem dni swego wygnania spędzać. [1]) Właściwszym byłby może wywód od rusińskich słów „o wydy“ (co znaczy: o patrz), jeśliby się wskazywało na wydatne wzniesienie tej góry nad okolicą Kut, — albo n. p. od słowa odwidyty (odwiedzić). Najprawdopodobniej pochodzi ta nazwa od dawnego właściciela tej poloniny Dawida, stąd Dawydowa hora zamieniła się z czasem w ustach ludu i pospólstwa na Owydowa hora, a w skróceniu polskiem na Owidyusza. Z ścisłością prawdy nie da się ani etymologiczne znaczenie, ani historyczne posiadanie tej góry wyprowadzić, a to tem bardziej, że podobnych nazw wiele znajduje się w Karpatach, a nawet na Bukowinie pokazują po dziś dzień koło Sołki skałę, zwaną Owidową, gdzie ma nawet być wykute w skale miejsce, co niegdyś rzekomo służyło na spoczynek czyli tam odpoczynek elegijnemu poecie Owidyuszowi. Niektórzy Huculi zowią tę górę także Czupryk, coby trafnie charakteryzowało jej kształt, podobny „do czuby“ zaokrąglonego szczytu.

Pochód na wierzch prowadził najpierw po wąskim płaju dość spadzistym, później przez gęste krzaki według skazówek przewodników, którzy wijąc się i przedzierając szybko między gałęzie zwieszonych drzew, torowali drogę gęsiego. Po godzinnem uwijaniu się po łagodnym stoku góry dosięgnęli turyści jej szczytu. Widok z niej w swoim rodzaju zachwycający, inny zupełnie, jak z Rokiety.

Sama góra Owidyusz jest ostatnim wysłannikiem, dokończeniem niejako podłużnego pasma od zachodu ku wschodowi, pasma wygiętego w lekkim łuku od wsi Babina aż do Kut. Przy końcu więc tego wzdłuż Czeremoszu ciągnącego się łańcucha gór, które stopniowo wznoszą się w kierunku wschodnim, wystrzeliła wysoko, w przestwór powietrza samotnie stojąca góra Owydowa. Właściwy jej szczyt lekko zaokrąglony pokrywa gęsta trawa; od strony miasta przebija nagość, miejscami tylko obrasta tam zieleń, od przeciwnej zaś strony, którędyśmy dążyli na nią, rośnie las i krzewy, a dzieli od sąsiedniego wzgórza potoczek Dźwiniecze, wpadający pędem do Czeremoszu. Stanąwszy na wysokim Owidyusza szczycie, na którym silny jest prze-

---

[1]) Jestto twierdzenie ś. p. ks. Sofrona Witwickiego — w Rysie historycznym o Hucułach. str. 94.

ciąg wiatru, widzimy przed sobą rozwartą, długą i szeroką kotlinę, przeciętą w środku mnóstwem ramion Czeremoszu i po bokach zlewającemi się do niego strumykami. Bliżej od nas na lewym brzegu leży Galicja wraz z Kutami, z rozrzuconemi w dali domkami wsi Słobódki, dalej na prawym brzegu Bukowina z Wiżnicą, Czarnohuzami i Ispasem, środkiem rozdziela te dwie krainy po skale płynący w uroczych zakrętach czysty i zimny Czeremosz. Kotlina ta wklęsła, powstała między równoległemi do siebie pasmami: Sorub (210 m.) i Zaberesz (239 m.) tworzy ku południowemu wschodowi cudny krajobraz, oblany morzem słonecznego światła, co nurząc się w rosie traw i źwierciadle przeźroczystego Czeremoszu okrasza wdzięcznie okolicę, godną zaiste pendzla pejzażysty.

(Dokończenie nastąpi.)

POLACY I CHORWACI.

Dwanaście z górą wieków już minęło od czasu, gdy drużyny chrobackie, opuściwszy podkarpacką swą ojczyznę, usadowiły się po nad Sawą, Drawą i Adrjatykiem, na ziemiach, wydartych najezdnikom Awarom...

Od tej chwili, aż do dnia dzisiejszego, zaszło tyle wypadków, które rozerwały wszelką nietylko geograficzną, ale i dziejową łączność między temi dwoma odłamami Słowiańszczyzny, t. j. pozostałymi w dawnych siedzibach Słowianami na północ Karpatów i Chorwatami, że zetknięcie się tychże w dziele cywilizacyjnem było rzeczą li tylko epizodyczną i niemal przypadkową.

Mimo to zakwas ducha i obyczaju, wyniesiony z pradiedowiny, jak ją Chorwaci nazywają, był do tego stopnia silny, że tak jedni jak i drudzy, rozwijając się w całkiem różnych warunkach dziejowych, w rozwoju swym nader wiele cech wspólnych przedstawiają.

Tak jedni jak i drudzy, przez przyjęcie katolicyzmu weszli w krąg cywilizacyjny ludów zachodnio-europejskich, a pierwiastek religijny u obu tych ludów, silnie wpływając na życie domowe i polityczne, do dziś dnia daje ich żywotowi szlachetne, idealne zabarwienie i podstawę moralną w obyczajach.

U jednych i u drugich wyrobiła się szlachta ruchliwa, krewka, żądna czynu, a po części użycia, skora do pitki i wybitki, gościnna, a przytem łatwo dająca się porwać gorącem słowu, serdecznemu uściskowi, płynącej z duszy pieśni...

I kardynalne wady obu narodów są niemal jednakowe — przewaga uczucia nad rozumem, nieobaczne słowo lub czyn nieoględny, dobroduszna łatwowierność, miękkość dla obcych, jaka im często tyle szkody wyrządzała.

Przeto nie będziemy się dziwić, że inteligencja chorwacka, lubo nie odwiedza nas wcale, jednak z wielkiem upodobaniem oddaje się studjom nad naszym językiem i literaturą, pojmując jej ducha i odczuwając go w zupełności...

W czasie srebrnego wesela cesarza Franciszka Józefa, delegatów galicyjskich wprawił w zdumienie sędziwy poeta narodowy, ban Chorwacji, Jan Mazuranicz, gdy w towarzystwie ich przemówił czysto po polsku i zdziwionym oświadczył, że każdy inteligentny Chorwat z rozkoszą czyta poetów polskich, gdyż zdaje się mu, że w nich, zwłaszcza w „Panu Tadeuszu“, widzi obraz życia własnego narodu...

Nieboszczyk Fr. Skobel do końca życia nie mógł sobie darować maleńkiego w życiu swem epizodu.

Przybywszy do Zagrzebia na uroczystość otwarcia uniwersytetu tamecznego, złożył wizytę banowi Mazuraniczowi i przemówił do niego... po niemiecku...

Ban, człowiek w życiu bezpretensjonalny i łatwy w obejściu, przerwał mu z dobrodusznem uśmiechem: „Co, panie profesorze, możeby lepiej, gdybyśmy z sobą po polsku mówili?“

A jednak ban w życiu swem nigdy w Polsce nie był; podobnież nie dotknął stopą polskiej ziemi zmarły już Franciszek Kurelac, znakomity stylista, mówca i deklamator, który mówił po polsku najpiękniejszym książkowym językiem, czerpanym z naszych klasycznych autorów.

Pamiętamy dzielnego starca, jak w kółku przyjacielskiem deklamował wzorowo wiersz Mickiewicza, a oczy jego błyszczały ogniem iście młodzieńczego zapału...

W latach trzydziestych i czterdziestych wielu Polaków dłużej lub krócej bawiło w Chorwacji, zawiązując tamże stosunki szczerej przyjaźni, której nie rozrywało nawet to, że w wojnie 1849 r. jedni i drudzy znaleźli się w całkiem przeciwnych obozach...

Na tych stosunkach znany poeta i historyk, Jan Kukuljewicz-Sakciński, osnuł nader ciekawą powiastkę: „Dwaj Słowianie“, gdzie przedstawił Polaka w gronie ówczesnych patrjotów chorwackich, kupiących się pod chorągwią tak zwanego iliryzmu.

Młodsze pokolenie literatów chorwackich prawie całe umie nieźle po polsku, tak iż można z nimi w tym języku rozmówić się jako tako, a wszyscy czytają książki polskie z łatwością i z upodobaniem.

Najlepiej między nimi po polsku umie Franciszek Markowicz, jeden z najzdolniejszych poetów i autor wzorowych tłumaczeń „Marji“, „Farysa“ i „Alpuhary“; mówi on bardzo dobrze i ciągle stara się nabywać coraz większej wprawy w naszym języku.

Gruntowną znajomością języka i zrozumieniem ducha celuje sympatyczny wielce powieściopisarz i dramaturg, Józef Eugenjusz Tomicz, który w ostatnich czasach wygotował wyszły w książkach Maticy przekład „Hani“ Sienkiewicza.

Nie mało wpływu naszej literatury znać na utworach Augusta Szenoi, którego przekład „Jana Bieleckiego“ wybornym nazwać można.

Z najmłodszego pokolenia pracują nad językiem i literaturą polską: Jan Broz, młody kapłan, Wickosław Homotavicz, oraz Jan Gosticz; ten ostatni czas jakiś studjował w uniwersytecie krakowskim i ze szczególniejszą przyjemnością wspomina prelekcje Stanisława Tarnowskiego.

Zwłaszcza lgnie do nas z dziwną sympatją patrjotyczne duchowieństwo chorwackie.

Wielu Polaków spotykało w wycieczkach swych biskupa z Diakowy, Strossmajera, niejeden bawił w jego pałacu biskupim; wszyscy z pewnością jaknajmilsze zachowali wspomnienie o tym mężu, zarówno pełnym zasług względem narodu, jak i uprzejmości i serdeczności w obejściu...

Wielu Chorwatów służy w wojsku austrjackiem i ci często spotykają się z kolegami polskiego pochodzenia, zawiązując z nimi nieraz stosunki szczerej przyjaźni.

Na tle pobytu wojaków chorwackich w Galicji osnuł pułkownik Jan Truski, jeden z najpopularniejszych poetów narodowych, uroczą powiastkę p. t. „Posestrima Poljakinja“.

M. K.

Z WYSTAWY DZIEŁ SZTUKI.

(Dokończenie).

Mamy przed sobą jeszcze mnóstwo drobiazgów, których większa część jest płodem amatorstwa, dyletantyzmu. Cóż o takich płótnach mówić? Każdy z tych amatorów ma chęci jak najlepsze, i niebyśmy przeciw tej rozrywce ich nie mieli, gdyby te malowidła zostały w domu, a nie pięły się na wystawę, nie stawały w rzędzie dzieł sztuki. O tem trzeba przemilczeć. Inaczej ma się rzecz z tymi, którzy roszczą już sobie jakieś prawa do artyzmu, a nie mając więcej talentu od amatorów, rzucają z zarozumiałą napuszystością jakieś dziwolągi na płótno, na które i patrzeć trudno i zrozumieć niepodobna. Takie wrażenie robią trzy obrazy Wandaliny Strzałeckiego, w których rysunek, światło, koloryt i w ogóle wszystko co pod oko podpada, jest karykaturalne, jakby na przekorę robione fałszywie; — w tej mierze powtarzamy tylko to, co krytyka artystyczna w Warszawie dawno już wypowiedziała. *Alina* L. Wyczółkowskiego grzeszy znów niedbalstwem nie do darowania. Cały talent artysty, którego mu odmówić niepodobna, rozbił się o manjerę w technice. Ma to być niby robota lekka, szkicowa, bez tego delikatnego, starannego wykończenia; taką jaką jest, nie można nazwać dziełem sztuki.

Znajdziemy wszakże i kilka dobrych płócien. Jaroszyńskiego »*Banderja hucułów przed pojazdem cesarskim w Kołomyi*« zaleca się miękkością pędzla i jasnym doborem kolorów, razi wszakże zbytnia symetrja i wymuskanie, co w tego rodzaju obrazach jest drobiazgowością, osłabiającą ogólnyefekt. Dobrym perspektywicznym rysunkiem celuje K. Dzbańskiego kopja podług Gryglewskiego: »*Wnętrze kościoła św. Marji Panny w Krakowie*«, jak również oryginalna jego praca: »*Wieża i część klasztoru OO. Bernadynów we Lwowie.*« Pędzel bardzo staranny, wierność rysunku wielka. Adolf Sandoz przysłał cztery płótna z których największe: »*Nad brzegiem w oazie El-Kantary.*« Jasny, wschodni koloryt, który przy całem swem bogactwie nie wpada nigdy w jaskrawość, jest głównym znamieniem dzieł Sandoza. Zbliżony kolorytem jest obraz B. Łaszczyńskiego »*Sorento nad zatoką neapolitańską.*« Jasne, czyste niebo południowe, które nie wiedzieć czy barwy swej zapożycza w źwierciedle zatoki, czy swojej jej udziela, celuje spokojem, trudnym do oddania. Artysta wykonał obraz bardzo pracowicie; zalety techniczne, które w malowaniu natury, prym trzymają, chlubnie świadczą o nim.

Cztery studja Tadeusza Axentowicza, są przedewszystkiem studjami. Znać tam dobre odwzorywanie natury, choć może artysta zbyt lubuje się w tonie ciemnym. Malowanie twarzy ciemno jest dziś dość modnem, inna wszakże jest rzecz być oryginalnym, a inna goniąc za oryginalnością popadać w manjerę, której dziś

większość hołduje. Artysta szuka przeważnie twarzy wyrazistych, co studja wielce ułatwia, w wykonaniu znać wprawę.

Andrzej Grabowski dał nam trzy portrety, z których najlepszy, znany już dawno, to portret ojca artysty. Dzieło to wychodzi po za obręb zwykłych portretów, a przybiera charakter malowideł typowych. W każdym razie jest to jedna z najlepszych prac Grabowskiego.

Nie możemy przemilczeć o kopji J. Procińskiego: »*Sąd Parysa*« podług Rubensa. (Z galerji belwederskiej we Wiedniu). Kopja bardzo staranna, koloryt wiernie naśladowany. Rysunek dokładny, a karnacja oddaje bardzo dobrze znakomite dzieło Rubensa.

W dziale akwarel pierwsze zajmuje miejsce Kossaka Juljusza »*Wjazd cesarza Franciszka Józefa do Krakowa*«. Artysta z prawdziwem poczuciem piękna wybrał grupę malowniczą, której główną osią, jest czwórka siwoszów krakowskiego prezydenta. Wszystko inne na drugim planie. Akcesorja malowane efektownie, a czwórka po krakowsku.

Bardzo ładne są akwarele Wojciecha Grabowskiego. »*Małomieszczanka*«, »*Rycerz średniowieczny*«. i drugi typ rycerza, w podobnym stroju tak pod względem rysunku, jako też i kolorytu są doskonałe. Harmonja panuje w ogóle, całość robi dobre wrażenie, a szczegóły aż do najmniejszych wykończone.

Gryglewskiego »*wnętrze kościoła św. Katarzyny w Gdańsku*« przypomina nieodżałowaną stratę znakomitego perspektywisty.

Jan Doliński, nieznany dotąd zupełnie, dał »*Zasłonę*«, stawiającą go od razu wysoko. Przypominamy, że jest to młody architekt, wysłany kosztem kraju zagranicę dla kształcenia się w malarstwie dekoracyjnem, a jego »*Zasłona*« świadczy najlepiej o owocach tej pracy. Będzie to jeden z niewielu malarzy dekoracyjnych, a mamy nadzieję, że będzie jednym z lepszych.

Rzeźba uboga. W katalogu czytamy cztery tylko nazwiska, a z tych T. Barącz, znany z swych zdolności dawno — tylko, że obecnie wystawione prace są drobiazgami. Na większą uwagę zasługuje p. Feintuch, młody artysta, którego dwa modele z terracotty zapowiadają bardzo wiele.

Tyle na teraz — miejmy nadzieję, że będzie lepiej.

Zorjan.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Pamiątkowe dzieło literatury polskiej. „Pamiętniki Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska, deputata z powiatu lelowskiego na koło rycerskie, za króla Michała Korybuta, a pierwej towarzysza pancernego (1656 — 1688)“ wyszły w nowem wydaniu „Bibljoteki Mrówki,“ jako tomiki 123 — 127 tejże bibljoteki. Nie będziemy się rozszerzali nad znakomitą wartością tego popularnego już zresztą utworu, powiemy tylko, że wydanie obecne jest najtańszem ze wszystkich, bo kosztuje tylko zł. 1.

*** P. Stefanja Wechslerowa, nauczycielka przy seminarjum lwowskiem i członek kom. egz., przysłużyła się niemało dzieciom naszym i nauczycielom, ułatwiając im naukę języka francuskiego przez ułożenie nowych wypisów, uzupełnionych słowniczkiem i objaśnieniami. Potrzeba znać wszystkie trudności tej na pozór drobnej pracy, aby ją należycie ocenić. Dowodem tego był zupełny brak podobnej książki u nas. Wszystkie dotąd wydane grzeszyły albo nieodpowiednim wyborem ustępów, albo złym językiem, gdyż były to przekłady, a nie oryginalne wyjątki z pisarzy francuskich. P. W. usunęła wszystkie te braki. Jej wypisy są rzeczywiście wyjątkami z pism najcelniejszych autorów francuskich, a treść ich zawiera zawsze albo myśl szlachetną, albo przykład godny naśladowania. Wierszyki przeplatają prozę i zawsze stoją w związku z myślą ustępu poprzedzającego. W części polskiej uwzględniła autorka przeważnie przykłady z dziejów naszych lub z życia znakomitych ludzi. Słowem książka p. W. przyniesie dzieciom wielkie ułatwienie w nauce obcego języka i korzyść moralną.

*** Pan Stanisław Klichowski w Warszawie napisał ważny podręcznik p. t. „Rachuukowość folwarczna“, oparty na podwójnej manipulacji.

Zdaje się, że tak pożyteczna książka, nakładcę znajdzie.

*** Znów jeden Polak wystąpił z ważną książką w literaturze medycznej, która zyskała poklask specjalnej krytyki.

Jest to monografja dra. Michałowskiego, wydana w Wrocławiu p. t. *Beitrag zur Anatomie und Entwickelungsgeschichte v. Papaver Somniferum.*

*** Obrazek dramatyczny p. Gawalewicza p. t. „Preludium Szopena“, wyszedł w oddzielnej odbitce.

*** Chorwacki *Wieniec* podaje sprawozdanie z literackiej działalności Bałuckiego, przyczem zapowiada przekład ostatniej pracy jego „Typy i obrazki“.

*** *La revue de droit international* obejmuje wzmiankę o pracach prof. Roszkowskiego, rodem z Warszawy.

*** Dziennik angielski dla górników, zamieszcza krótki opis stanu naszych kopalni, oraz uwagi o eksploatacji żelaza.

*** Dziennik „Antiquary“ podaje artykuł o starożytnej kuchni u Słowian pióra Gomme'a.

W epoce przedhistorycznej gotowano już u nas wyśmienicie.

*** Emil Zola napisał dla teatru francuskiego komedję p. t. „Renée“.

*** Słynny nauczyciel śpiewu Lamperti, u którego kształciły się największe znakomitości artystycznego świata, z d. 1. października opuszcza Drezno, gdzie dotąd zamieszkiwał, i przenosi się do Petersburga.

*** Pan Stefan Szolc-Rogoziński, oficer marynarki włoskiej, członek towarzystwa geograficznego w Paryżu i klubu afrykańskiego w Neapolu, zwraca się w ostatnim numerze „Wędrowca“ z propozycją do amatorów podróży.

W kwietniu roku przyszłego p. Szolc-Rogoziński zamierza wyruszyć do kamerońskiej zatoki (Afryka zachodnia) i pozostawiwszy w górach tegoż imienia stację geograficzną, puścić się na wschód kontynentu dla stwierdzenia istnienia jeziora Liba.

„Z radością powitałbym, pisze p. S. R., pomiędzy zjednoczonemi siłami mej wyprawy towarzysza podróży z ojczystej niwy, który zechciałby podzielić ze mną trudy i owoce.“

Ekspedycja trwać będzie mniej więcej rok; udział materjalny wynosić będzie 2,000 rs. (5,000 fr.)

Dla bliższego porozumienia się z pragnącymi odbyć tę drogę p. S. R. złożył swój adres w redakcji „Wędrowca.“

Społeczne i ekonomiczne.

*** Po drodze do Rosji zatrzymał się w Warszawie ajent wegetarjanizmu z Ameryki, który po różnych miastach starej Europy zakłada restauracje.

Interes podobny nieźle funkcjonuje w Paryżu i Londynie, chociaż odstąpiono od zasady i prócz jarzyn podają w tych zakładach ryby.

Yankee obejrzał grunt miejscowy i chodząc po różnych garkuchniach, podziwiał jakie mieszkańcy Warszawy mają strawne żołądki.

Obiady roślinne pod względem hygienicznym nic nie pozostawiają do życzenia, a ze strony ekonomicznej mają także pierwszeństwo nad mięsnemi pokarmami.

Amerykanin nosi projekty w kieszeni, mając zamiar produkować je lekarzom i duchowieństwu, kładąc nacisk na to, iż wszystkie tego rodzaju instytucje należą do stowarzyszenia wstrzemięźliwości.

Zdaje się, że w naszym klimacie i przy miejscowym obyczaju, a zwłaszcza zajęciach miejskich, podobny zakład nie miałby racji bytu i że nowy misjonarz napróżno czas traci.

*** W sprawie restauracji Zamku królewskiego na Wawelu, Towarzystwa Techniczne, lwowskie i krakowskie, ogłosiły zbiorowy Memorjał, w którym wypowiadają przekonanie, że restauracja Wawelu jedynie drogą konkursu publicznego, lub ograniczonego, może być szczęśliwie rozwiązaną.

*** W Londynie zawiązało się stowarzyszenie opieki nad nauczycielkami pochodzenia angielskiego, na całym świecie rozproszonemi. Filja stowarzyszenia ma być ustanowiona i w Warszawie.

*** Pan Mendelejew, znany chemik rosyjski, wynalazł nowy materjał oświetlający, który przygotowywa z odpadków naftowych.

Jestto płyn bez koloru i zapachu.

Zapala się przy temperaturze 135° i pali się światłem jasnem i równem.

Płomień daje się zagasić przez zalanie wodą, czego nie można zrobić z naftą.

Koszta produkcji nie są wielkie; obliczają, że będzie można sprzedawać pud nowego płynu po 3 zł., wskutek czego nowemu wynalazkowi przepowiadają świetną przyszłość.

*** Bank francuski zamierza posługiwać się papierem ogniotrwałym pod druk banknotów; papier ten ma być sporządzony z asbestu.

*** Berliński kongres szachowy został zakończony. Pierwszą nagrodę (1200 marek) zyskał Blackburne, a drugą (600 marek) — nasz ziomek Cukiertort. Ostatnie cztery nagrody nie zostały rozegrane i dla tego premja przypadły do równego podziału. I tak: Czigaryn-Winawer rozdzielili między siebie trzecią nagrodę: 400 marek. Wittek-Mason — czwartą nagrodę: 300 marek. Minkwitz-J. Schwarz — piątą nagrodę: 200 marek. Berger-Paulsen — szóstą nagrodę: 150 marek. Turniej szachowy trwał ogółem trzy tygodnie.

*** Grad, który w dniu 9 sierpnia spadł w Szlezwig-Holsztynie na przestrzeni około 15 mil, zrządził szkód, jak obecnie obliczono, na 6,480.000 marek.

*** Jakiś przemyślny Anglik wynalazł maszynę samobójczą.

Ofiara szału siada wygodnie w fotelu i za poruszeniem sprężyny, wydobywa gaz usypiający, następnie 8 wystrzałami pozbawia cię całości swej czaszki, poczem, gdyby to nie skutkowało, funkcjonującą garottą dopełnia dzieła zniszczenia.

Sposób to bezzawodny...

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.